

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

„Europa zagrożona jest fałszywym rozumieniem samej siebie. Owa fałszywa Europa uważa, że w swoim obecnym kształcie stanowi wypełnienie naszej cywilizacji; tymczasem tak naprawdę chce zająć nasz dom” – czytamy w Deklaracji Paryskiej. Ogłoszony w październiku dokument stał się bodźcem do wymiany listów pomiędzy pisarzami: Krzysztofem Doroszem i Bartoszem Jastrzębskim. Dzięki uprzejmości autorów, publikujemy ich korespondencję, zapraszając do wspólnej refleksji nad europejskim domem

Drogi Bartku,

Czytałeś pewnie niedawno ogłoszoną Deklarację Paryską podpisaną przez grupę wybitnych europejskich intelektualistów. Zatytułowana „Europa, w jaką wierzymy” przeciwstawia Europę prawdziwą jej fałszywej postaci. „Patroni fałszywej Europy – czytamy w Deklaracji – tkwią pod urokiem przesądów na temat nieuchronnego postępu. Wierzą, że Historia jest po ich stronie, a wiara ta napędza ich pychę i wzgardą tak, że nie są w stanie dostrzec wad post-narodowego i post-kulturowego świata, który sami konstruują.” To prawda, pomimo wybuchu zła w XX stuleciu, wiara w Postęp oraz w Historię nadal tworzy kształty „rajskiej” przyszłości, rzeźbiąc wyobraźnię wielu europejskich elit. Sercem tej wyobraźni jest otaczana wciąż wolność.

Lecz wolność ta — piszą autorzy Deklaracji — „jest bardzo jednostronna. Definiuje się ją jako uwolnienie od wszelkich ograniczeń: to wolność seksualna, wolność ekspresji, wolność ,bycia sobą”.

Sygnatariusze Paryskiej Deklaracji zdecydowanie piętnują fałszywą Europę, pragnąc przywrócić naszej kulturze przebrzmiałą dziś wielkość Europy prawdziwej. „Należy odnowić wysoką kulturę europejską — piszą — ustalając za wspólny standard wzniosłość i piękno; odrzucając zaś degradację sztuk i sprowadzanie ich do politycznej propagandy.” Zgoda. Lecz odrzucając wizję fałszywej Europy, autorzy Deklaracji niejednokrotnie uciekają się do klasycznych konserwatywnych zaklęć typu „należy odnowić” „musimy przywrócić”, „trzeba odwrócić”. Ba, ale jak to zrobić? Czy wielkość kultury europejskiej jest nadal na tyle silna i żywotna, że można do niej po prostu powrócić? Czy nie jest już za późno? Co sądzisz, Bartku?

Czy wielkość kultury europejskiej jest nadal na tyle silna i żywotna, że można do niej po prostu powrócić? Czy nie jest już za późno?

Paryska Deklaracja wielokrotnie podkreśla znaczenie chrześcijańskich korzeni Europy. Niedwuznacznie daje nam do zrozumienia, że te korzenie

stanowią w istocie rzeczy *spiritus movens* europejskiej kultury. „Nasze szlachetne cnoty — stwierdzają autorzy Deklaracji — jednoznacznie zawdzięczamy naszej chrześcijańskiej spuściźnie”. Oczywiście. „Prawdziwa Europa — czytamy dalej — została naznaczona chrześcijaństwem”. To prawda. Lecz cóż nam daje naznaczenie, skoro

zostało odrzucone i zapomniane? Co wnosi spuścizna, jeśli ją roztrwoniliśmy? I co nam przyjdzie z korzeni, jeśli nie wyrastają z nich kwiaty, krzewy i drzewa?

Czyż nie żyjemy w czasach ucieczki od Boga? Wprawdzie człowiek zawsze uciekał od Boga, odwracał się od Niego i chował przed Jego spojrzeniem. Lecz kiedy człowiek uczestniczył w żywej wspólnocie wiary, świadomej, że Bóg nie tylko jest, ale do nas przychodzi, obyczaje, normy, artystyczne wytwory religijnej kultury, a nawet przedmioty codziennego użytku przypominały mu o Nim wiele razy dziennie.

Dziś jest inaczej. Dziś mało kto świadomie ucieka od Boga, mało kto zrywa z Nim więź. Dzisiaj – jak pisał w trzydziestych latach ubiegłego stulecia szwajcarski myśliciel Max Picard – ucieczka od Boga ogarnęła całą cywilizację. Wraz z nią uciekamy prawie wszyscy, nie zdając sobie bynajmniej sprawy z naszej ucieczki. Pędzimy na oślep przed siebie, pozbawiani coraz to kolejnych punktów oparcia, nie wiadomo, dokąd i nie wiadomo, po co. Już nawet busola nam nie jest potrzebna, bo nie wiemy, jaki wybrać kierunek. Nasze życie, świat, zawarte w nim przedmioty i ludzie ulegają rozpadowi. Rozpada się twarz człowieka, dawniej harmonijna i obdarzona głębią; rozpada się miłość, ufność, przyjaźń, rozpada się ludzkie „ja”, rozpada się literatura i sztuka; jej twórcy, nieraz tylko uczepli fragmentu niegdyś scalonej rzeczywistości, bezradnie usiłują schwycić jej wirujące w przestrzeni cząsteczki i ułożyć w strukturę sensu. Zazwyczaj daremnie, ponieważ powszechna ucieczka od Boga oznacza ucieczkę od sensu; zerwanie z Nim więzi pociąga za sobą zerwanie więzi z sensem życia i śmierci, sensem cierpienia i radości, wreszcie z sensem ludzkiej i boskiej miłości.

*Dziś mało kto świadomie
ucieka od Boga, mało kto
zrywa z Nim więź. Dzisiaj
ucieczka od Boga ogarnęła
całą cywilizację*

Nie ma sensu, są
tylko jego
możliwości. Nie ma
wartości, jest tylko
nieskończona
dyskusja. Nie ma
dobra i zła, są
eksperymenty

etyczne, które nieraz kończą się przemocą, czasami nawet zbrodnią. Bo czyż człowiek nie jest miarą wszechrzeczy? Czyż, odkąd zaczął pięćset lat temu budować kulturę faustyczną, nie przedzierzgnął się w mistrza tajemnych nauk stosowanych, czyli w maga, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych? Uwiedziony władzą naukowej magii, która obiecywała spełnić jego marzenia i zachcianki, stworzył świat nieskończonych możliwości, który coraz bardziej i coraz skuteczniej wypiera świat wyrazistych kształtów ludzi i przedmiotów. Nie ma w tym świecie rzeczy niemożliwych, są tylko jeszcze niemożliwe. Nic nas nie trzyma, nic nie obliguje; cudowna lekkość bytu uderza nam do głowy i zapominamy, że gdyby nie ukryta w najciemniejszych zakamarkach naszego wnętrza pamięć sensu i wspomnienie więzi z rzeczywistością ostateczną, nie byłibyśmy w stanie nawet się poruszać.

Ludzie cywilizacji faustycznej już nie zrywają więzi z Bogiem, w ich mniemaniu ta więź po prostu nie istnieje i nigdy nie istniała. Jest przesądem lub zabobonem, jest błędem myślenia i wyobraźni, jest niefortunną pozostałością dawnego świata, któremu rozum i nauka położyły kres. Ci ludzie, tak rozsądni, tak trzeźwi i tak rozumni, zazwyczaj nie chcą przyjąć do wiadomości, że rozum jest tylko sługą sił wyższych lub niższych, nauka zaś narzędziem poznania ograniczonym wyjściowymi założeniami i polem zainteresowań badawczych. Nie

pojmują lub nie chcą pojmować, że więź człowieka z Bogiem została arbitralnie przecięta w XVI i XVII wieku. To cięcie nie wynikało ani logicznie, ani merytorycznie z nauki, która jest tylko narzędziem i metodą. Wynikało natomiast z wielkich sukcesów tej metody, którymi człowiek tak się zachłysnął, że uczynił z niej światopogląd i namiętą wiarę. Więcej: ów Faust nauki i techniki nie chciał zauważyć, że każda teoria naukowa milcząco przyjmuje jakąś część rzeczywistości za samoistną: materię, ducha, stosunki produkcji, popędy. Słowem, każda teoria, by zaistnieć i by kogokolwiek przekonać, musi dokonać aktu wiary, nie religijnej wprawdzie, ale quasi-religijnej.

Faust nauki i techniki nie chciał zauważyć, że każda teoria naukowa milcząco przyjmuje jakąś część rzeczywistości za samoistną. Każda teoria, by zaistnieć i by kogokolwiek przekonać, musi dokonać aktu wiary

Od Boga zatem łatwiej uciec niż od wiary. Lecz w gruncie rzeczy to tylko pozór. Bo skoro człowiek nie jest w stanie uciec od wiary, nie ucieknie także od Boga. Tyle tylko, że ten, kto zerwał więź z Bogiem prawdziwym, prędzej

czy później wpada w ramiona bogów fałszywych, którzy dziś nie zadają już sobie nawet trudu, by porwać człowieka do piekła i powieść ku wiecznemu potępieniu. Dziś wystarczy im wprawić go w takie upojenie marzeniami i stworzyć taki wir możliwości, by jego człowieczeństwo rozpadało się na coraz drobniejsze kawałki i by w jego wnętrzu zabrakło ciągłości i stałych punktów. Lecz nie samymi możliwościami człowiek żyje, nadchodzi zatem chwila, kiedy ludzie zaczynają odczuwać nieprzepartą potrzebę solidnej i trwałej rzeczywistości oraz

scalenia własnego wnętrza. Wtedy pojawia się zbawiciel. Lecz nie jest to ani Chrystus, ani Adonaj, pan Żydów, ani Budda. Jest to Hitler lub Stalin, Mao Tse-tung lub ich pomniejsze wcielenia.

Hitler jest zerem, cząsteczką nicości, „ekskrementem świata demonów” – pisał Max Picard – toteż świat, gdyby nie utracił jeszcze więzi z Bogiem, gdyby nie znalazł się jeszcze w rozpadzie, wyrzuciłby go poza nawias życia, rozumu i wiary i nikt by o nim nawet nie słyszał. Lecz nasz świat, w którym ludzka twarz utraciła głębię, harmonię i zdolność odpowiadania na wezwanie drugiej twarzy, rozpaczliwie potrzebował zbawiciela, który wybawi ludzi z dotkliwego braku wewnętrznej ciągłości, scali i obieca spełnić ich marzenia. Adolf Hitler doskonale spełniał te warunki. Tyle tylko, że – jak „prawdziwy” fałszywy bóg – pozornie.

Apokalipsa ekskrementów ze świata demonów, jak i apokalipsa ideowych kowali wykuwających w krwawej kuźni królestwo wolności to – miejmy nadzieję – ślepa ulica i punkt ostateczny faustycznej cywilizacji, która mniej więcej pięćset lat temu, dotknięta duchową zapaścią ówczesnego Kościoła z jednej strony, uwiedziona możliwościami stwarzanymi przez nauki przyrodnicze z drugiej i oddana marzeniom o budowie nowego wspaniałego świata, przecięła więź z Transcendencją. Wiarę w Boga chciała zastąpić wiarą w człowieka, boga ziemskiego globu. Czyż nauka nie była nowym objawieniem, a mag i uczonej jej niezrównany prorokiem? Dziś tak daleko zabrnęliśmy w sferę naukowej magii zwanej technologią, że nawet nie chcemy szukać z niej wyjścia. Przekonani, że człowiek jest miarą wszechrzeczy widzimy w nim już nie zdolność czynienia dobra, lecz *libido dominandi*. W imię wolności oddajemy cześć jego rojeniom i zachciankom, dalekim już nie tylko od prawdziwej Europy, lecz także

od rzeczywistości. Czy świadomość chrześcijańskich korzeni naszej kultury może nam pomóc? Czy konserwatywne apele o odnowę skostniałej i fałszywej rzeczywistości są w stanie cokolwiek zmienić? Co więc zrobić, by porzucić magię i samoubóstwienie człowieka, co zrobić, by przywrócić jego więź z Bogiem? Czy to jest w ogóle możliwe?

Dziś tak daleko zabrnęliśmy w sferę naukowej magii zwanej technologią, że nawet nie chcemy szukać z niej wyjścia

Możliwe, ale niezwykle trudne. Bo nim więź z Bogiem została zerwana przez renesansowych magów, uległa osłabieniu na skutek

samowładztwa rozumu, które z wolna przedostawało się do krwiobiegu chrześcijańskiej wiary. Potem rozum, zwany rozumem naturalnym, wyemancypował się od Boga, zostawiając całą sferę nadprzyrodzoną Kościołowi i teologii. Uznany za neutralnego i ostatecznego arbitra poznania, zapanował niepodzielnie w sferze natury. Wiara natomiast przyjmowała nie dające się rozumem wykazać prawdy na temat Boga nie aktem poznania, choćby skromnego i niepełnego, lecz woli. Tak więc renesansowi magowie mieli ułatwione zadanie: świat natury i poznania poddany był wprawdzie Bożej jurysdykcji, lecz jedynie na mocy autorytetu Kościoła. Kiedy ów autorytet osłabł, kiedy chrześcijańska teologia umyła ręce od naturalnego rozumu, zagarnęli go magowie i humaniści. Ci pierwsi, powodowani żądzą władzy, chętnie przekształcali go w narzędzie przemiany świata; ci drudzy, wynosząc człowieka nad Boga, z czasem osiągnęli skutek odwrotny od zamierzonego, doprowadzając do dehumanizacji człowieka.

Więź z Bogiem nie została wprawdzie całkowicie zerwana, ale stała się słaba, wąta i niepewna. Schowana głęboko w zakamarkach chrześcijańskiej duszy, straciła zdolność ożywiania jej i otwierania na Boga. Serca wielu chrześcijan, miast być tą niezwykłą, wyjątkową przestrzenią, gdzie rzeczywistość stworzona spotyka się z niestworzoną, skurczyły się, zmały, zastygły w niepewności i lęku.

Na szczęście są jeszcze wspaniali, mądrzy duchowni i teologowie, są zwykli ludzie głębokiej i autentycznej wiary. Kościoły nadal przechowują wielkie skarby. Niestety przechowują je nieraz już nie w glinianych naczyniach, lecz w hermetycznych pojemnikach, nieraz bezwiednie je ukrywają, tak dobrze i głęboko, że zakurzone i pokryte warstwą brudu, nie są w stanie objawić swej nieskończonej wartości. Jak więc je znaleźć, jak wydobyć na światło dzienne, jak pobudzić do życia? Bo przecież te skarby nie stanowią niczyjej wyłącznej własności; one muszą żyć, promieniować, przemieniać ludzkie serca. Więc jak? Czasem inicjatywa będzie wychodzić od Kościołów, od ich instytucjonalnego nauczania, lecz czasem od nas samych. Musimy być głęboko przekonani, że wielkim zadaniem naszych czasów nie są kolejne odkrycia naukowe, nie loty na księżyc i planety układu słonecznego, ale przywrócenie zerwanej więzi z Bogiem. To przekonanie pozwoli nam łatwiej odkryć skarby pod warstwą kurzu. Ale to nie wszystko. By te skarby odkryć i wydobyć z ukrycia, musimy oczyścić nasze serca. Jak?

Wierzący modlitwą i takim ukształtowaniem własnej duszy, by Bóg miał do niej łatwy dostęp, niewierzący dobrze czynieniem i mądrością. Jeśli nasze serca nie będą czyste, nie będziemy nawet wiedzieć o istnieniu tych skarbów. Wierzący będą nadal klepać pacierze,

niewierzący nadal traktować więź z Bogiem jako byt pozorny. Potrzeba nam zatem przekonania, że więź z Bogiem, dziś ani oczywista, ani wyraźna, jest nam konieczna do życia jak powietrze. Pozbawiony więzi z Bogiem człowiek ulega powoli rozpadowi; rozpada się jego serce, jego człowieczeństwo, rozpada się jego cywilizacja i kultura. Zrazu tego nie widać, zwłaszcza że nie brak klakierów, którzy wynoszą pod niebiosa wszystko co nowe.

*Na szczęście są jeszcze
wspaniali, mądrzy duchowni i
teologowie, są zwykli ludzie
głębokiej i autentycznej wiary.
Kościoły nadal przechowują
wielkie skarby*

„Wszystko w
rozpadzie, w
odśrodkowym wirze”
– pisał William
Butler Yeats w 1919
roku w słynnym
wierszu *Drugie
przyjście*. Picard czy
Yeats, widzieli i czuli

rozpad ludzkiego świata już w okresie międzywojennym. Inni zobaczyli go dopiero po drugiej wojnie światowej i po ujawnieniu komunistycznych zbrodni. To była cezura, apokalipsa humanistycznego świata, który zerwawszy więź z Bogiem, zapragnął stworzyć nadczłowieka. Ta apokalipsa nie zrodziła się nagle, nie wynurzyła się jak *diabolus ex machina* z odmętów zła, lecz wyrosła z naszej cywilizacji i kultury, z renesansowej magii i naukowej woli mocy karmionej prometejskimi marzeniami o ludzkiej wszechwładzy i lekkości bytu, dowolnie lepionego rękami człowieka. Stworzony przez komunistów czy narodowych socjalistów świat bez łaski i miłosierdzia jest światem nieludzkim, ponieważ przemiany ludzi i społeczeństwa chce dokonać nauką, techniką i przemocą. Chrześcijaństwo natomiast próbuje przemienić człowieka miłością.

Miłością? Co to właściwie znaczy? Nasza cywilizacja skłonna jest widzieć w niej jedynie uczucie, zapominając, że miłość to ontologiczna siła. Zapominamy też, że Bóg w każdej minucie naszego życia i na tysiąc sposobów pragnie nam się udzielić; podkreślał to z niezwykłą mocą Mistrz Eckhart; podkreślali także mędracy sufizmu, którzy powiadali, że kiedy choć krok jeden ku Bogu postąpimy, wówczas Bóg ku nam aż dziesięć kroków zrobi. Słowem, istnieje Łaska, która jest wyciągniętą ręką, zaproszeniem, lecz nigdy niczego nie narzuca. Dlatego odbudowa więzi z Bogiem jest zawsze możliwa, lecz nie bez naszego udziału. Łaska jest wielkim darem dobra, lecz dar trzeba umieć przyjąć. Wiąż z Bogiem istnieje więc zawsze, ale to człowiek ją zrywa. Bez niej może żyć długo i cieszyć się życiem, lecz prędzej czy później rozpadnie się na kawałki i przestanie być człowiekiem. Człowiek bowiem nie tylko zależy od Boga, lecz bez Niego nie jest w stanie ani siebie poznać, ani autentycznie istnieć w świecie i między ludźmi. Stara to prawda chrześcijańska, której źródłem i niedościgłym wzorem jest Chrystus – Bóg złączony z człowiekiem.

*Gruntowna restauracja
społecznego i politycznego
porządku może nastąpić tylko
wówczas, gdy w dostrojonej do
transcendencji ludzkiej duszy
zapanuje prawdziwy ład*

Dziś w naszym świecie ta prawda jest słabo jest słyszalna, ponieważ Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą. Zdaniem Erica Voegelina w wyniku zasadniczej

przemiany ludzkiej duszy zapoczątkowanej w XVII wieku człowiek zastąpił Augustyńskie *amor Dei* miłością własną, czyli *amor sui*. Tak zaczęła się trwająca do dziś epifania ludzkiego ego, która zawładnęła

człowiekiem epoki porennesansowej i przesłoniła objawienie Boga. Nic zatem dziwnego, że owa – jak ją nazywa Voegelin – „egofanią” doprowadziła rychło do rewolty ziemi przeciw niebiosom, człowieka przeciw Bogu. To było nieuchronne. Odkrycie ludzkiego ego musiało być opłacone śmiercią Boga. Śmierć Boga z kolei nieuchronnie pociąga za sobą rozpad i śmierć człowieka.

Temu rozpadowi zdaniem Voegelina zapobiec może jedynie odzyskanie naszego uczestnictwa w transcendencji, czyli autentycznego doświadczenia Boga. Voegelin był przekonany, że to doświadczenie, tak kluczowe dla naszej cywilizacji, nie zostało na zawsze zagubione, lecz spoczywa w uśpieniu we wnętrzu człowieka zachodniej kultury i czeka na pobudzenie przez duchowo wrażliwe umysły. A przywrócenie go ludzkiej świadomości jest w stanie nie tylko ożywić wiarę, lecz wprowadzić ją do rzeczywistości politycznej.

Wszak gruntowna restauracja społecznego i politycznego porządku – twierdził Voegelin – może nastąpić tylko wówczas, gdy w dostrojonej do transcendencji ludzkiej duszy zapanuje prawdziwy ład. Bo ład przestrzeni publicznej płynie z ładu serca otwartego na Boga. Szerzący się w społeczeństwie chaos jest nade wszystko chorobą duszy, zatem jakość politycznej rzeczywistości odzwierciedla jedynie etyczny i duchowy charakter klas politycznych.

Czy sama świadomość chrześcijańskich korzeni kultury europejskiej, podkreślana przez Paryską Deklarację, zdoła wyleczyć chorobę duszy? Szczerze mówiąc, wątpię.

Pozdrawiam Cię Bartku bardzo serdecznie
Krzysztof

Przeczytaj list Bartosza Jastrzębskiego do Krzysztofa Dorosza

Tekst Deklaracji Paryskiej

Fot: Faust i Mefisto podczas gry w szachy – obraz z XIX w. (fragment),
autor nieznany.